



Bohdan Ejbich

Sygnatura notacji: **N0606**

Data urodzenia: **22.10.1916 r.**

Data nagrania: **05.05.2012 r.**

Miejsce nagrania: **Kanada**

Prowadząca/y rozmowę: **Zofia Kunert, Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **75 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bohdan Ejbich: Ja się urodziłem w 1916 roku w Saratowie nad Wołgą. Mój ojciec, farmaceuta, tam wówczas pracował. Wrócił do Polski 1917 roku, dwukrotnie z tego, co mi opowiadał, był wyprowadzany przez [niezrozumiałe, 00:00:36] na rozstrzelanie. W 1918 roku już był w Polsce, bo mój średni brat się urodził już w 1918 roku. Niestety muszę się przyznać, że ani jednego słowa po rosyjsku nie znam. Nie lubię tego języka. W każdym bądź razie potem, ponieważ ojciec zgłosił się do wojska jako farmaceuta i pracował cały czas jako farmaceuta w wojsku w baonach sanitarnych, był przerzucony przeto z baonu do baonu. W ten sposób ja miałem możliwość poznać całą Polskę i dlatego mogę mówić o Lwowie, mogę mówić o Kurpiach, mogę mówić o niemal każdym miejscu w Polsce. Znam Polskę bardzo dobrze z okresu przedwojennego. Do powszechniaka chodziłem w Białymstoku, gdzie się nauczyłem czytać po polsku i pamiętam te pierwsze komiki pisane przez Kornela Makuszyńskiego, już wtenczas na pamięć się uczyłem. „Czasy w Polsce niespokojne, a więc poszedł Grześ na wojnę”. I potem w drugim wątku: „Bardzo brzydki to postępek, przerznąć komuś piłą pępek”. To wtenczas, kiedy złapali bolszewicy jakiegoś, to wszystko... Zapomniałem w tej chwili kto rysował. Na „W” zdaje się.

Zofia Kunert: Walentynowicz.

Bohdan Ejbich: Walentynowicz, tak. A Makuszyński pisał, to były piękne... Kolorowałem to zresztą. Do pierwszej gimnazjalnej zdawałem w Puławach. Dlatego, że ojciec wtenczas był przydzielony do 15. Pułku Piechoty i baonu sanitarnego w Dęblinie, a w Dęblinie nie było nawet szkoły powszechnej, jeśli dobrze pamiętam, tak że musiałem chodzić w Puławach do gimnazjum. Tam poznałem właśnie Kopcia Stasia i wielu innych moich przyjaciół, którzy

potem znaleźli się w lotnictwie i czas był dla mnie wspaniały, dlatego, że z dala od mamy i taty. Z moim charakterem poznałem dogłębnie lochy puławskie. Tak że wiem gdzie, co było, w jakim miejscu w Puławach. Rozbikowany byłem niesamowicie, kiedy wróciłem jako 10-letni chłopiec, na pierwsze Boże Narodzenie, ojciec powiedział do mamy: „Ale nam się chłopak rozbiersurmanił”. Już wiedziałem, że musi być coś złe. Dostał się potem... W 1927 roku, tak, i tam byłem do 1932 roku, ojciec przeniesiony tutaj wtenczas do 1. Baonu Sanitarnego w Warszawie. Znalazłem się ponownie w Warszawie. I od tej pory poczułem się Warszawiakiem. Przedtem byłem takim międzynarodowym Polakiem. Nareszcie uważałem, że Władysław IV, do gimnazjum Władysława chodziłem na prace, że Praga daje mi prawo do słowa, że jestem prawostronny Warszawiak. To był bardzo przyjemny okres. I oczywiście tu teraz jak wspominałem poprzednio, już wchodziły te próby wykształcenia się wyżej. To znaczy ojciec koniecznie chciał, żebym poszedł na medycynę. A ja niestety na lekarza się nie nadawałem i z czasem znalazłem się na wydziale matematyczno-przyrodniczym, gdyż ambicją mego ojca było w dalszym ciągu, żeby mnie kształcić, żebym został tym lekarzem. Jakoś mi się udało za namową przyjaciela, który zdecydował, że pójdzie do lotnictwa. Ja razem z nim zgłosiliśmy się do lotnictwa, ale do grupy technicznej. Nie pociągało mnie samo lotnictwo. Ja nie byłem nigdy takim, jakby to nazwać zawziętym lotnikiem, takim z serca. Ale kochałem technikę, więc dlatego poszedłem do szkoły podchorążych lotnictwa, Grupa Techniczna i tam właściwie to szkołę skończyłem, jak mnie wojna złapała. Wojna mnie złapała na najstarszym roczniku. Mało tego, w pierwszy dzień września przypadek spowodował, że byłem oficerem służbowym szkoły i to ja zaalarmowałem szkołę, widząc nalot pierwszych siedmiu bombowców na Okęcie. Tak że to było bardzo przykre wspomnienie dla mnie, bo widziałem te pierwsze bomby, jak spadały. W drugi dzień bodajże, może trzeci dzień września, meldowaliśmy się po rozmaitych pułkach. Ja dostałem przydział do 1. Pułku. Ze względu na wzrost, nie chwalcąc się, ze względu na urodę, męską urodę, śmieję się. Żarty oczywiście. Dostałem się do 1. Pułku na Okęcie. Zameldowałem się, zresztą z przyjacielem, na pewno pani zna tę osobę. Zbyszek Ryłski, Ścibor-Ryłski, on do po dziś dzień składa wieńce.

Zofia Kunert: Motyl.

Bohdan Ejbich: Słucham?

Zofia Kunert: Motyl. Byłam na jego urodzinach.

Bohdan Ejbich: Motyl. Tak.

Zofia Kunert: Byłam na jego urodzinach.

Bohdan Ejbich: Korespondujemy z nim, mam tu wszystkie jego listy i opisuje w jednej z książek swoich jego przeżycia, zresztą w czasie Powstania. Zbyszek, potem był Zbyszek Kobnicki, było jeszcze kilku i zameldowaliśmy się na Okęcie 1. Pułku z prośbą o przydział. Spotkaliśmy porucznika Stasia Lewickiego. On był porucznikiem, a my świeżo nominowani podporucznicy, chociaż nikt z nas nie wiedział jeszcze, że posiadamy tę nominację, gdyż prezydent nominował nas 1 września. Myśmy się meldowali 3 września. Ja jeszcze byłem w ten czas plutonowym podchorążym. Nigdy nie zastąpiłem zaszczytu, tak jak moja żona była sierżantem. Ja nie wiem co to znaczy być w wojsku sierżantem. Z miejsca

zrobiono mnie podporucznikiem. Meldowaliśmy się u tego Lewickiego Stasia i Staś Lewicki spojrzął tak jak to potrafi już stary oficer spoglądać na niedoświadczonego oficera tak z góry i mówi: „I po jasną cholere go tu przystali? Chodź, pokażę wam, jak to lotnisko wygląda”. Lotnisko było straszne. Było zbombardowane. I mówi: „Ja nawet wam zupy nie mogę dać”. Żeśmy zwrócili z powrotem do szkoły, zameldowali w szkole, ale dla przypomnienia, jeżeli pani pamięta, gdzie jest Super Sam przy Unii Lubelskiej, to na zapleczu jest kościółek ewangelicki i te tereny, które dzisiaj przecina ulica Batorego, aż po samą Politechnikę, to był teren dawnej Szkoły Podchorążych Lotnictwa - Grupa Techniczna. Wspaniała szkoła. Moim zdaniem wspaniale kształciła. Ja dzisiaj podejrzewam, że to jest Akademia Wojskowa, zdaje się, dzisiaj się nazywa. Nawet mnie proszono, żebym tam jakiś wykład mieć, ale się nie zgodziłem już na to. Tak że dostałem tam ten przydział i bodajże 6 września meldowałem się z grupą swoich przyjaciół w Brześciu. Jestem tego prawie pewien, że w Brześciu. Tam mój serdeczny przyjaciel, dzisiejszy... On ma doktorat z aerodynamiki. Bodajże był wykładowcą jakiejś wyższej uczelni w Warszawie, doktor Tadeusz Kostia. Zrobił mi kawę, bo powiedział do oficera, który organizował rzut kołowy, powiedział, że się zgłaszam na ochotnika. Cóż ja mogłem zrobić, zgłosiłem się na ochotnika i kierowałem ten rzut techniczny od 10 września aż do 17 września, bo tam coś było 15 dużych ciężkich ciężarówek, na które miały śmigła, smary, wszelkie zapasowe części do samolotów, aż znalazłem się 17 września w pobliżu granicy rumuńskiej, to była niedziela bodajże rano, alarmem spowodowanym, skierowano nas w stronę granicy rumuńskiej. Ja poprowadziłem ten rzut. Tylko, że ja nie przekraczałem go tam, gdzie wszyscy. Ja przekraczałem w Kutach nad Czeremoszem bodajże. Tak znalazłem się za granicą. Młody przerażony człowiek.

Zofia Kunert: A czy był taki nastrój przed wojną, wiadomo było, że wojna wybuchnie czy raczej to było zaskoczenie?

Bohdan Ejbich: Nie, to nie było żadne zaskoczenie. Nie było zaskoczenie. Przypominam sobie doskonale przemówienie ministra Józefa Beka. Cała szkoła została zwołana wtenczas do takiej sali konferencyjnej, gdzieśmy wszyscy podchorążowie, wszystkie trzy roczniki zobowiązane były wysłuchać. I on otrzymał, pamiętam, od nas brawa. Był taki nastrój, że nikt z Polakami nie wygrywa.

Zofia Kunert: A czy z kolei atak sowietów był zaskoczeniem?

Bohdan Ejbich: To było wielkie zaskoczenie. Dla mnie to było zaskoczenie. Ja nie przypuszczałem przez sekundę, nie wierzyłem, żeby Rosjanie mogli przekroczyć. Zresztą przypominam sobie taki moment, kiedy będąc właśnie w tę niedzielę, ostatni dzień września, kiedy tam się znalazłem, z przyjacielem swoim wyszliśmy na spacer. Przez ukraińską wieś szliśmy środkiem drogi i nagle podjechało do nas dwóch motocyklistów. To byli nasi koledzy ze starszego jeszcze rocznika, ze szkoły podchorążych. I myśmy zatrzymali ich i powiedzieli, bośmy się właśnie dowiedzieli, że Rosjanie przekroczyli. Mówi: „Nie jedźcie dalej, bo Rosjanie przekroczyli”. Zlekceważyli to. Oni dwaj zginęli w Katyniu. Widocznie jakoś się za blisko znaleźli. Myśmy w porę się wycofali Po jakiejś godzinie 11:00 ja wydałem rozkaz, żeby rzut kołowy kierował się pod rozkazem, zdaje się, że to był pułkownik Wiedeń, o ile się nie mylę. Mogę się mylić. Karaś albo Wiedeń. Tego już nie pamiętam.

Głos: Nie, Karaś był w Zaleszczykach.

Bohdan Ejbich: Kto?

Głos:

Karaś był w Zaleszczykach.

Bohdan Ejbich: Ale przecież mogły przyjść instrukcje, skarbie, do nas. W każdym razie ja kierowałem się zrzutem na... I przekroczyłem tam, bo to była może 1:00 w nocy, 18. już jak przekroczyłem granicę.

Zofia Kunert: Do tego zaraz jeszcze wrócimy, ale potem nam umknie ważna rzecz. Powiedział pan przedtem, że zaczął pan przed wojną studia na Uniwersytecie Warszawskim również. To jeszcze wrócmy do lat 30. Po pierwsze czy pamięta pan moment śmierci marszałka Piłsudskiego, jaki był nastrój, jak to pan przyjął? Po drugie, kiedy pan zaczął studiować i jakie były nastroje wśród studentów?

Bohdan Ejbich: Proszę pani, to ja się jeszcze więcej cofnę. Ja maszerowałem dwa razy w przysposobieniu wojskowym przed marszałkiem w Warszawie. To był 1930 rok, 1932 rok. Nie. To był 1933 rok i 1934. W 1935 roku on już nie żył. Tak że dwa razy maszerowałem. To było przed pomnikiem Józefa Piłsudskiego, który mieścił się wtenczas tam, gdzie dzisiaj jest mniej więcej Grób Nieznanego Żołnierza. Na placu tym... To pani pamięta.

Zofia Kunert: To nie przed pomnikiem Piłsudskiego.

Bohdan Ejbich: Nie Piłsudskiego, Poniatowskiego. Ja powiedziałem Piłsudskiego? Proszę to złożyć na karb mojego Alzheimera.

Zofia Kunert: Marszałek za życia sobie pomników nie stawiał.

Bohdan Ejbich: Ja doskonale pamiętam. Pamiętam, myśmy tam maszerowali. To był piękny moment, wie pani. To pamiętam doskonale. Co do nastroi wśród studentów, nikt nie myślał o wojnie. To jest jasne jak słońce. Pamiętam taki fragment, kiedy przyszedłem się pożegnać z rodzicami. To mógł być 3 września, może 2 września. Wiedziałem, że muszę wyjechać, bo już rozkazy były. Ja byłem w ten czas na Służewcu, stałem. Że będziemy się kierować z grupą na Brześć i poszedłem. I pamiętam, kiedy zwróciłem się do swojego ojca i powiedziałem raczej tak, nie wiem, jakie słowo to użyć, ale chyba bezczelnie bym powiedział, mówię: „Tato, będziemy odbierać defiladę w Berlinie za trzy tygodnie”. To coś świadczy. Żeśmy wierzyli w siebie. Nastój był definitywnie, że damy radę. Nikt nie przypuszczał, że tak strasznie przegramy, a przegramy, ja osobiście podejrzewam, że przegraliśmy tylko dzięki, nie powiem nieudolnej, ale polityce naszych rządów, które nie przewidywało, że armia powinna być uzbrojona, że lotnictwo powinno mieć własne dowództwo, że nie powinno podlegać dowództwu armii, tylko podlega, tak jak w Anglii, lotnictwo powinno mieć Air Ministry własne dowództwo, do dzisiejszego dnia tego nie ma w Polsce. Już mówiłem to generałowi Walentynowiczowi, mówiłem już niejednemu generałowi w Polsce, że na miły Bóg, ludzie, zlitujcie się, lotnictwo to jest osobna broń, tak jak osobną bronią jest marynarka, tak osobną jest lotnictwo, osobno dowództwa, nie może podlegać armii. Wie pani, co się stało podczas wojny, że powiedzmy odesłano eskadrę pod dowództwo jakiegoś tam majora, dowódcę czołgów, który nie znając się kompletnie nad tym, kazał atakować czołgi. Wszystkie ginęły przeważnie, nasze płatowce ginęły. Tak że nastrój był, moim zdaniem nastrój był wspaniały. Pamiętam, bodajże

to 3. może 4., szedłem z przyjacielem Krakowskim Przedmieściem i spojrzałem w stronę za Hotel Europejski na plac Piłsudskiego dzisiejszy. Zdaje się, że to był przedtem, nazywał się plac Ogród Saski czy coś takiego. Nie pamiętam już dokładnie. I widziałem, wszystkie partie tam były, łącznie z komunistyczną. I tak jak dobrze pamiętam, nastrój był tam bardzo patriotyczny. Śpiewali: „Nie rzucim ziemi” wszyscy. Tak że zjednoczenie było bardzo silne. To się wyczuwało. To nie było to wcześniej, że tu ktoś był socjalistą, a ktoś był tym. Ja byłem zresztą, jako młody chłopak, to byłem na niejednym takim spotkaniu partii socjalistycznej w jakimś ogródku na zapleczu, na jakimś podwórzu. Nawet bodajże, ale nie jestem 100% pewien tego, wydaje mi się, że nawet byłem na jednym takim, gdzie przemawiał sam Gomółka, jeżeli się nie mylę, wie pani. Taka mi się twarz przypomina. Tak że nastrój był raczej bardzo pogodny, a jednocześnie był potworny zawód. Myśmy byli tak zawiedzeni tą przegraną, tą wojną. Jak zobaczyliśmy, jak potrafili atakować Niemcy i dosłownie mordować zestrzelonego Polaka, myśliwca, myśmy też byli okrutni podczas wojny. Ja byłem bardzo mściwy. Potrafiłbym każdego zbombardować w tym momencie, tak długo, jak powiedział Niemiec, że tak szczerze mówiąc ja nawet dzisiaj tak myślę, bardzo wrogo jestem ustosunkowany do nich. Nie powinienem być, ale jak na przykład jest takie jedno z opowiadań opisane w jednej z moich książek, jak Tadek Karkowski, on był myśliwcem w 302. Dywizjonie, jak on po zastrzeleniu Niemca robił to samo, co oni z nami robili. On go mordował na ziemi, strzelał do niego, aż go nie zabił, co jest wbrew naturze zasadniczo Polaków, ale ten okres, jaki właśnie ja zapamiętałem, te pierwsze 17 lat, to zostawił na wielu z nas, zwłaszcza na młodszych, potworne piętno, wie pani. Z zemsty. Z zemsty. I dlatego właśnie ja, który... Ja nie poszedłem do szkoły podchorążych lotnictwa Dęblin, bo mi nie imponowało lotnictwo. Mnie imponowała wiedza. Ja zawsze chciałem być człowiekiem wiedzy. I poszedłem do szkoły Grupa Techniczna, która mi bardzo dużo dała.

Zofia Kunert: Ale nie powiedział pan, co pan studiował na Uniwersytecie.

Bohdan Ejbich: A studiowałem tam, co tato kazał. Byłem na wydziale matematyczno-przyrodniczym, proszę pani. Mimo wszystko chodziłem, to był taki jeden dział matematyczno-przyrodniczy, chodziliśmy, to było na ulicy Oczuki przy szpitalu Dzieciątka Jezus, jeśli się nie mylę. Był rodzaj kliniki czy coś takiego. I tam na wykłady chodziłem. Pamiętam, nawet ja jeden egzamin zdałem z osteologii. O, tak, pamiętam, z osteologii zdałem egzamin i później profesor brał z kosza kość, powiedzmy, tu w nadgarstku jest tych kości nie wiem ile, rzucił do góry, a ja mu odpowiedziałem nazwę tej kości po łacinie i zdałem. I zdałem, muszę się pochwalić, że zdałem właśnie z osteologii, zdałem jeszcze z kilku innych przedmiotów. Już niestety nie pamiętam tego dokładnie.

Zofia Kunert: Dobrze, to teraz wracamy do momentu przekraczania granicy.

Bohdan Ejbich: Przekraczanie granicy. Przekroczenie granicy właściwie było na tyle smutne, żeśmy wiedzieli, że to przegrana. Ja byłem sam ze szkoły podchorążych, byłem dowódcą tego transportu. Dużo w ten czas rozmaitych broni tam przez to celowo przechodziło i nas kierowano, to zrobiła się jak gdyby taka kawalkada potworna. I doszliśmy po kilku godzinach, dojechaliśmy do miasteczka, które nazywało się Radauti. Pamiętam nazwę. Tam się czekało. Tam do następnego dnia czekaliśmy. Czekali na przyjazd jakiejś ważnej osobistości, która miała mieć przemówienie do nas wszystkich lotników. Tam się lotnicy koncentrowali. Ja nie jestem pewien, czy to nie był generał Ujejski, który przemawiał. Wydaje mi się, że z tego, co potem on opowiadał, że to właśnie on przemawiał. Ale mnie

już nie interesowały. Ja należałem do tej grupy, która uważała, że ta tragedia, jakiej myśmy doświadczyli, jest trudna do zrozumienia. Ja miałem wielkie trudności. Jako przykład tych trudności to pani tylko opowiem, że kiedy z czasem znalazłem się w obozie internowania, to któregoś dnia rano, gdy się obudziłem, to byłem przywiązany za ręce i za nogi. Nie wiedziałem dlaczego. Koledzy mi wytłumaczyli. Mówili: „Tyś chciał wartownika rozbroić”. To był człowiek młody, wie pani, ja miałem 22 lata wtenczas i pewnie się musiałem zdrowo napić z kolegami, gdyż te nastroje istniały, to jeszcze pozostałość tego doświadczenia, tych 17 dni. Powoli te informacje napływały. Mało tego, potem ja z dwoma czy z trzema, nie, z czterema kolegami zdecydowaliśmy, że my nie będziemy internowani. Z rzutu kołowego, który miał miejsce następnego dnia i nas odwożono do jakiegoś obozu internowania. Myśmy uciekli. Zdecydowaliśmy, że wracamy do Polski dalej walczyć. To było niemożliwe, gdyż mundury nasze były jasne, mieliśmy te mundury lotnicze i za nami zaczęła, wie pani, dosłownie tłum Rumunów iść. Zaaresztowano nas po kilku godzinach i z powrotem w to samo. Ale był ten moment, żeśmy chcieli wracać walczyć dalej. Też ta chęć, wie pani, zemsty. To potworna była chęć zemsty. Tak że tam byłem w Rumunii internowany. Internowany byłem w obozie nie lotników, tylko do był już kolejny obóz, to była kawaleria i artyleria. Tak że jak się szybko zorientowali kawalerzyści, dowództwo, że my nie pasujemy do tego obozu, to zezwolono nam mieszkać w samym miasteczku Korabia, czworo nas było. To byłem ja, Myszkowski, Sergiusz Czarnij i Myszkowski wrócił do Polski. Sergiusz wrócił do Polski i ostatni był... Przyjdzie nazwisko. Oni wrócili do Polski i ja jeden z tej czwórki zostałem za granicą. I z tego obozu zdecydowaliśmy uciekać, ale dosyć późno, bo byliśmy bardzo izolowani, bardzo daleko, nie dochodziła do niej żadna komunikacja. Obóz był na samym Dunajem. Miejscowość nazywała się Korabia. I dopiero stamtąd zdecydowaliśmy dać nogę z obozu. Wykupiliśmy przy pomocy znajomej Rumunki, bardzo przyjemnej, młoda dziewczyna, kupiła nam bilety. Dostaliśmy się na pociąg i znaleźliśmy się w Bukareszcie i tam poszło już wszystko poszło. Już zameldowaliśmy się w ambasadzie, były paszporty gotowe. Nie paszporty, dokumenty stwierdzające, że nigdy w wojsku nie służyłem. Mam takie nazwisko, na jakieś fałszywe nazwisko mam ten dokument, że gdzieś studiowałem, już nie pamiętam, coś we Lwowie. Nigdy w wojsku tego karabinu w ręku nie miałem. Koncentracja była w miasteczku, które nazywało się Balchik. Balchik jeszcze był wtenczas po stronie Rumunii. Dzisiaj jest po stronie bułgarskiej, w części Bułgarii. Z Balchiku uciekaliśmy na okręt, na który dostaliśmy się. To właściwie był statek, nie okręt, grecki i stamtąd odpłynęliśmy do Bejrutu. W Bejrucie dokładnie, dopłynąłem do Bejrutu w dzień wigilijny. Więc pani sobie wyobraża, jak wyglądała wigilia na pokładzie. To było straszne. W dzień Bożego Narodzenia już wszyscy oprzytomnieli i w bardzo niedługim czasie dostaliśmy się do samego miasta i czekaliśmy na wyjazd do Francji, bo cel był Francja. Do Francji dopłynąłem, pamiętam dokładnie, 22 stycznia, 1940 roku. Tak że krótkośmy byli we Francji. Tam po raz pierwszy spotkałem się z Francuzami, z oficerami i mam bardzo złą opinię o Francuzach. Zresztą sprawdziło się w samej Francji. To byli nieżyczliwi, nam nieprzyjemni, zarozumiali. Uważali, że połknęli połowę świata w swojej mądrości. I jak dopłynąłem do Francji, dostałem przydział do baonu, zgłosiłem się z miejsca, z personelu technicznego do personelu lotniczego. Chciałem koniecznie latać i mścić się na Niemcach. Niestety tego szczęścia nie doznałem, gdyż w bardzo krótkim czasie Francja, jak wiemy, tragicznie skończyła tę wojnę i nawet z gorszym brakiem honoru niż Polska, ale muszę jedną rzecz powiedzieć na zakończenie, wie pani, tego epizodu w Francji. Francuzki były patriotkami. Nie Francuzi. Oni byli... Pamiętasz jak oni wołali „Fini lager! Fini lager!”. Mam złą opinię o Francuzach. Ale Francuzki płakały. Ja pamiętam to. Czasem się wzruszam, wie pani. Nawet mówię, taki typ jak ja potrafi się wzruszyć czasami. To jest przezabawne. Tak że tam krótko było. Właściwie to nie było ciekawe we Francji. Tu żona opowiadała, ona dostała się tym rzutem, który był przygotowany głównie dla wojska spieszonego. Wojsko spieszono nakierowano na Saint-Julien i stamtąd... [niezrozumiałe, 00:27:36] Już nie

pamiętam. Tam. I oni płynęli Batorym, i zdaje się były jakieś statki angielskie. Natomiast rzut lotniczy był kierowany na południe Francji do Port-Vendres. To na brzegu, tuż właściwie na styku Hiszpanii, granicy hiszpańskiej i francuskiej, Apeniny właśnie, takie pół Apeniny, wzgórze. I stamtąd moja grupa przepłynęła rzeczywiście przez morze do Oranu, z Oranu czasem transportem do Casablanki. Z Casablanki do Gibraltaru, Gibraltaru - Liverpool. W lipcu 1940 roku znalazłem się we Francji.

Głos: W Anglii.

Zofia Kunert: Że w samych walkach w kampanii francuskiej pan nie wziął udziału.

Bohdan Ejbich: Nie, nie brałem udziału. Wcale nie. Właściwie ja pani powiem, ja nawet się zgłaszałem do rzutu, tam mało kto brał. Były nawet, tak jak mówi się o tych naszych myśliwcach, wie pani, to też jest troszkę takiej przesady, oni byli przy dywizjonach francuskich, to nie był żaden dywizjon francuski. Tam nawet Krasnodębski nie walczył. Kilku walczyło i bardzo ładnie tam było. Nawet nie wiem, czy nasz świętej pamięci Sawisz, który niedawno umarł, czy był jeszcze tam. Tam było dużo przecież słynnych myśliwców. Żaden nie dostał? a ja byłem oficerem z wykształceniem technicznym, byłem Grupa Techniczna. Oficer z Grupy Technicznej. Zgłosiłem się do personelu latającego, ale nie było mowy, nigdy nie zdążyłem.

Zofia Kunert: Dobrze, to teraz jesteśmy w Anglii.

Bohdan Ejbich: Jesteśmy.

Zofia Kunert: Co się dzieje dalej?

Bohdan Ejbich: Jesteśmy w Anglii, pierwsza rzecz, lądujemy w Liverpoolu i pierwsza rzecz, co się rzuca, to tak jak wspominałem wcześniej, organizacja. Niesamowita organizacja. To nie Francja, wie pani, gdzie tam się namyślali, czy ataki, czy inny kamion, bo tak nazywali, ciężarówy przydzielić czy nie. Tutaj stało wszystko już na miejscu. Cały rzut. Odwiózł nas na pociąg, z pociągiem do... To było koło Starud [niezrozumiałe, 00:29:51] Niedaleko Gloucester. Obóz przejściowy, gdzie właściwie był obóz przejściowy, gdzie ja długo nie byłem. Może miesiąc. To była zwykła rejestracja numerów i tak dalej. I tam pierwszy błąd Anglicy popełnili, którego nie naprawiałem a z którym się potem w Polsce spotkałem, jak rozmawiałem z tą ubeczką, bo ona mnie... Przepraszam, taka mała dygresja, ale ona mnie wcześniej zapytała: „Pan tu ma wpisane w paszporcie, że pan się urodził Saratów, Poland”. A ja mówię: „Proszę pani, pani wie, że Anglicy są durny naród. Jak przyjechała armia polska i lotnictwo polskie do Francji, to wpisali Bohdan Ejbich, jednostka francuska. Gdzie mógł się Polak urodzić? Polska. A ja mówię i byłem na tyle sprytny, żeby tumanów nie poprawiać. A zresztą tak pani szczerze powiem - tu sobie zakupiłem zupełnie - czy panie zdają sobie sprawę i to przesadzam, że jest Wilno w Kanadzie, że jest Warszawa, nazywa się Wawa, ale jest Warszawa, że nie wiem, ile miast polskich nazywa się w Stanach Zjednoczonych, to pani mi mówi, że nie ma miasta Saratów w Polsce? A jeżeli nie ma, to ja mam pretensje, żeby granice tak daleko tam przesunąć, bo ja się tam urodziłem”. Pamiętam, że ja sobie tak kpiłem z tych ludzi. Ja do dzisiejszego dnia mam satysfakcję, jak opowiadam, ale to tylko taka dygresja.

Zofia Kunert: Byliśmy w obozie przejściowym.

Bohdan Ejlich: W obozie przejściowym. W tym obozie przejściowym nas bardzo szybko przesunęli do centrali. Centrala była w Blackpool. Samo dowództwo było w Anglii, urzędował generał Ujejski w tak zwanym Rubensie, hotel Rubens. Tam było całe dowództwo i tam zresztą był sztab Sikorskiego, jeśli dobrze pamiętam. A natomiast generał Kalkus, który podlegał zdaje się, to był drugi inspektorat, on był dowódcą tej bazy naszej zapasowej w Blackpool. I tam nastąpił rejestr. I pierwsza rzecz, jaką się zgłosiłem, to był personel proszony do personelu latającego. I tu nastąpił potworny problem, bo Anglicy mnie nie chcieli puścić do personelu latającego. Widzi pani, Anglik to jest dziwny rodzaj człowieka. Jak pani jest doktorem medycyny, dla Anglika to pani nie może zęba wyrwać. Bo pani jest doktorem medycyny. Ja byłem oficerem technicznym, ja nie mogę latać w personelu, bo szkoda. Szkoda człowieka, który się wykształcił jest oficerem technicznym, że poszedł do personelu latającego, żeby się zabił tak łatwo. Tak że nie chcieli mnie wypuścić długi, długi czas. Przeszło rok. Aż w końcu po moich długich prośbach i protestach, i do doktorów chodziłem, że jestem za wysoki, za krótki, że mam za długą szyję. Wszystko, co mogłem wymyślić, wymyślałem. Więc w końcu Anglicy się zgodzili, powiedzieli: „Okej, to zrobimy ci egzamin”. I tu muszę powiedzieć z wielką przykrością, że zrobiłem wielką krzywdę mojej szkole. To znaczy szkole podchorążych. Bo ja kształciłem się przeważnie na wszystkich instrumentach angielskich. Wie pani, dla mnie nazwa gaźnik Cloud-Hobson, jeszcze nazwa, dzisiaj pamiętam, mogłem go tak rozebrać. A oni mnie pytają: „Gaźnik Cloud-Hobson?”, a ja mówię: „A co to jest?”. Wie pan, tak zawstydziłem tę biedną szkołę i oni machnęli ręką „To już idź do tego personelu, bo rzeczywiście żadnej z ciebie...”. Zgłosiłem się do personelu latającego. I przeszedłem szkolenie w Anglii. Ponieważ znałem angielski trochę, a ja w ogóle, wie pani, taki z natury jestem, już pani pewnie ma opinię wyrobioną o mnie, ja nawet przed wojną lubiłem więcej wiedzieć niż sąsiad. To znaczy chciałem więcej mówić już po angielsku, za wyjątkiem jednego rosyjskiego. Miałem wstręt do tego języka. Ale chciałem znać angielski, chciałem znać dobrze. Uczyłem się angielski i tak dalej. Ponieważ zgłosiłem, że znam angielski, odesłali mnie nie do polskiej szkoły, tylko do szkoły pilotażu angielskiej. I bardzo mnie tam pięknie poszło. Moim instruktorem był Anglik, pilot z pierwszej wojny światowej jeszcze. Bardzo przyjemny pan, potężny, z takim potwornym brzuszyskiem. Ale uczył mnie... Starał się ze mnie zrobić Anglika, bo pamiętam, jak kiedyś powiedział do mnie: „Pamiętaj synu”, son, „Remember, my son”, tak mi powiedział, „Pamiętaj, że Wielka Brytania wie, co to znaczy przerwa na herbatę”. Break time to święto. To już królowa Wiktoria powiedziała. Tak że on starał się ze mnie zrobić takiego lepszego Anglika. A ja natomiast wiele rzeczy nie wiedziałem. Pamiętam, to też śmieszna dygresja, lubiłem grać w szachy. Ja byłem szachistą. I kiedyś właśnie siedząc w takim hoteliku jeszcze za czasów pobytu w Blackpool, wieczorami grałem ze starszym panem, on miał już jakieś, staruszek, musiał mieć 75 lat. Ja wtenczas 22-23-latek, a on 70 lat. Zawsze wygrywał. Wie pan, ja wtenczas poznałem naturę Anglika. To jest ta precyzja, dokładność. On tego pionka wysuwał po pionku, każdy zabezpieczony, ja przerwać nie mogę, skaczę tymi końmi, laufkami, nie mogę dać rady. On ma wszystko obronione. I zawsze zostawał, tak każda gra się kończyła, że ja zostałem z królowką, a on z królowką i pionkiem. Kto wygrywał zawsze? I któregoś dnia taki zdenewrowany wstałem, i nie wiedziałem, jak zakląć. I mówię do niego: „You, you English”. Ale wie pan, tam na twarzy mojej malowała się polska wściekłość. I on w tym momencie, typowy taki Anglosas, wstał od stolika, spojrzał na mnie takim wzrokiem przebijającym i powiada do mnie, ponieważ ja byłem w mundurze oficera, więc nie mógł powiedzieć mi inaczej, tylko: „Sir, remember, always remember, I'm not English, I'm Irish”. Jak on to powiedział, ja po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że jest różnica pomiędzy Anglikiem, Irlandczykiem, Walijszczykiem i Szkotem. Pan nie

może powiedzieć do Szkota: „Ty, Angliku”, bo to jest wielka obraza. Albo dla Anglika. Tutaj tak powoli się człowiek zapoznawał, wie pan, to z kulturą anglosaską i ja muszę powiedzieć, że w tym okresie pierwszym, to lata, mówię, 1941-1943, aż do końca wojny, to Anglicy w stosunku do nas, lotników, zachowali się, nie wiem, jaki termin tu byłby dobry, nie słowo „kulturalnie”, ale z podziwem, w pewnym sensie, tak to powiem, podziwem. Dam pani przykład. Był taki film, w 1942 roku ukazał się, to był koncert Warszawy, Warsaw Concerto. Tam grał aktor filmowy, bo jeżeli się nie mylę, Austriak nazywał się Wallbrook. Nie pamiętam imienia. I on grał polskiego lotnika, który właśnie znalazł się za granicą. Widziałem ten zamek palący się, płomienie i on grający na pianinie. Piękny film zresztą. Jak ten film się skończył, ja byłem przyjacielem, Anglicy nas wynieśli na ramionach. To coś mówi, prawda? Ale to był 1942 rok. To był 1942, więc oni zachowywali się bardzo solidnie. Ja jako młody, nie znów taki, nie wiem, jak to określić, ale stosunkowo przystojny. Tak to określe skromnie. Miałem powodzenie wśród Angielek i przyjaźniłem się z wieloma Anglikami, poznałem między innymi rodzinę angielską Rogersów. On był majorem. Majorem w Royal Engineers. Miał córkę bardzo przyjemną, z którą po dziś dzień koresponduję. Ta dziewczyna ma dzisiaj z 92 lata, ale bardzo serdecznie korespondujemy. Więc ta przyjaźń została. Pani Rogersowa, matka jej, bardzo nam pomogła, jak myśmy mieli kłopoty niejednokrotnie z Anglikami, tak że... Nie, tam było, wie pani, jeżeli Anglik kogoś polubił, jeżeli kogoś szanował, to rzeczywiście zachowywał się bardzo porządnie i można powiedzieć, że nawet przykładem był. Dla mnie był przykładem. Mister Rogers, który w pierwszej wojnie światowej zdobył zresztą Militar Cross, wiem, w jaki sposób, był przykładem oficera brytyjskiego. Ale jednocześnie, niejednokrotnie, jak się pytał albo mówił o Kanadyjczykach w tych czasach, to nie mówił, że to jest Canadian officer, tylko mówił: Colonials. Kolonialni oficerowie. Ja jak przyjechałem do Kanady w 1952 roku, żona przyleciała, ja przyplłynąłem statkiem i jechałem przez całą Kanadę, to wie pani, jak się pociąg nazywał? Colonial train. To były te czasy. Kolonialny. Kanada była Dominion of Canada. Myśmy tu wstawali jeszcze niejednokrotnie przed zapoczęciem filmu i śpiewaliśmy „God Save the Queen”. Anglicy uciekali, ja do końca stałem, uważałem, że to ładna piosenka i dlaczego głosu nie potrenować.

Zofia Kunert: Wracamy do lotnictwa. Kiedy pan zaczął latać na jakieś loty bojowe?

Bohdan Ejlich: Zanim dostałem się na loty bojowe, prawie przez rok bardzo mądrze przydzielono mnie jako tak zwanego stuff pilot, czyli regularny pilot na stacji strzelców. Strzelców pokładowych, czy ogonowych, jak ich tam nazwać. I latałem jako taki stuff pilot, brałem ich na poligon, powietrzny poligon na ćwiczeniach. Oni strzelali do celu. To przeważnie były takie długie, długie torby, wie pani, do których trenowano. Głównie Kanadyjczycy tam byli. Ja latałem jako, nabijałem tak zwaną rękę. Tam miałem kilka wypadków, z których bardzo szczęśliwie wyszedłem, wyładowałem i w związku z tym wpisano mi, Anglicy wpisali, że jestem pilot „Above”, jeżeli chodzi o zdolności, znaczy above, lepiej niż przeciętny. Co mi zrobiło dużą satysfakcję i otrzymałem na połowie dopiero 1943 roku, proszę brać pod uwagę, że ja nie jestem przedwojennym pilotem, tylko jestem wojennym pilotem, że nigdy tej broni specjalnie latającego personelu nie pędziło mnie, ale tu gnęła mnie ta wrogość w stosunku do najeźdźców. I dołączyłem dopiero w 1943 roku. Bodajże to był sierpień, może październik, dokładnie nie pamiętam, do mojego dywizjonu, to znaczy do 304. Dywizjonu, w którym już do końca zostałem, aż do wojny. Z przerwami na szkolenie, bo latałem najpierw jako drugi pilot, potem musiałem pójść do jednostki szkoleniowej po własną załogę, bo zabrałem własną załogę, piękną załogę, świetną. Niestety z nich nikt nie żyje. I potem kończyłem loty. Skończyłem 44 loty bojowe. Ostatni lot bodajże był w lutym 1945 roku. Dokładnie to opisuję w swojej ostatniej książce, której dałem tytuł: „Trzystaczwartacy”,

a powiem pani, dlaczego dałem ten tytuł. Bo mnie nasi myślicy zaczęli denerwować. Powiedziałem kiedyś właśnie Stachowi Skalskiemu, którego znam personalnie, miałem z nim niejedną wykład i powiedziałem tak, a to nie było do Skalskiego, rozmawiałem wtenczas z Olkiem Gabszewiczem, który był jeszcze wyższy rangą. I powiedziałem tak kiedyś: „Olek, Polacy to - mówię - rzeczywiście taki naród trochę na łańsko. Przed wojną to było tak”. I tutaj mała dygresja. Jak stanąłem przed komisją poborową przed wojną, bo się sam zgłosiłem, to pyta mnie się ten, który mi robił ten wtedy wywiad, w jakiej broni chciałbym być, bo nie miałem 20 lat. Ja z takim uśmiechem radości mówię: „Kawaleria oczywiście”. Nie zapomnę tej pogardy w jego oczach. I tak spojrział na mnie, i mówi: „Koń wam między nogami przeleci”. Ja wysoki jestem. To mnie już rzeczywiście położyło. Nie mogę być, nie będę Wieniawą. Już wiem o tym, że przeszkód nie będę brał. A siedziałem kiedyś na siodle generała Rumla, który był dowódcą w ten czas 10. Pułku Ułanów w Białymstoku. Tak że miałem to zacięcie do kawalerii. Więc pyta mnie się: „No, to może drugie?”. Ja mówię: „No, to marynarka wojenna”. A on tak patrzy na mnie i mówi: „A pływać umiecie?”. Mówiło się „umiecie”, wie pan, wtenczas. Nie było „pana”, tylko „umiecie”. Ja byłem już wtenczas na uniwersytecie i mówię: „Ja jestem mistrzem w pływaniu AZS Oddział Warszawski”. I znów ta pogarda. „Takich, co potrafią zeskoczyć i dopłynąć do brzegu, nam w marynarce nie potrzeba”. Więc ja wtenczas z rozpaczę lotnictwo. Mówi: „No, naturalnie”. I tak zostałem lotnikiem. To taka dygresja. Wracam znów do 304. Dywizjonu. Do 304. z własną załogą zameldowałem się gdzieś tak w 1944 roku. Podejrzewam, że to mógł być, już dokładnie nie pamiętam, musiałbym do lookbooku spojrzeć. Gdzieś kwiecień-czerwiec 1944 roku. Już jako pełna załoga i skończyłem z tą załogą w lutym albo na początku marca 1945 roku.

Zofia Kunert: A na jakiego typu samolocie pan latał?

Bohdan Ejbich: Tu jest, proszę pani, mój samolot. Ten drugi, biały cały to jest Coastal Command, Obrona Wybrzeża. Piękny samolot. Przeżywaliśmy go „dziadkiem”. Dlaczego dziadek? Jak pan zobaczy, on ma brodę z przodu. Tam był radar ukryty. Na samym przodzie był radar. I dlatego może był nazywany „Dziadek Wellington”. Poza tym to był bardzo wysłużony samolot, bo jako Wellington number one zaczął boje w 304. Dywizjonie, loty na Niemcy. 304. Dywizjon poniósł straszne straty. On się w 1942 roku wykruszył i zamiast go likwidować, przesunęli go do obrony Wybrzeża. I właśnie dlatego ja w tym momencie się znalazłem w tej Obronie Wybrzeża. Wspaniały samolot. On właściwie, można było zostawić go, on sam latał.

Zofia Kunert: Czyli w tych nalotach, takich bombardowaniach miast niemieckich pan nie uczestniczył?

Bohdan Ejbich: Ja nie brałem żadnego udziału. Ja tylko atakowałem łodzie podwodne, atakowałem sznorkle i miałem średnich wymiarów sukcesy. To znaczy były bombardowania, ale nikt nie potwierdził, że zostało zatopione. To było bardzo ciężko zresztą. Ja coś innego chciałem powiedzieć, ale zapomniałem.

Głos:

Powiedz, jak cię napadły dwa Junkersy.

Bohdan Ejbich: Nie, ale to jest bitwa, to ja to opisałem w książce, nie będę tego opowiadał.

Zofia Kunert: Ale to, że w książce, to nie szkodzi.

Bohdan Ejbich: Nie, to dokładnie. Ja miałem bardzo... Miałem najdłuższy rekord walki z Niemcem. O, już wiem, co chciałem mówić. Zaraz powtórzę. Chciałem powiedzieć o Gabszewiczu właśnie. Dlaczego mnie denerwowały... Znaczący myśliwce po dziś dzień mnie denerwują, jak ja słyszę bitwa Anglię, Polacy bitwa o Anglię, 303. Dywizjon. Nawet o 302. się nie mówi. On też brał udział w bitwie o Anglię i to bardzo piękny udział. Ma bardzo dużo zastrzelonych samolotów. Tylko mówię, ciągle ten 303. bitwa o Anglię. Ja podkreślam niejednokrotnie, bitwa o Anglię dokładnie trwała trzy i pół miesiąca. I nie ma dwóch zdań, że polscy piloci odnosili przepiękne sukcesy. Ale zapomina się o tym, że bitwa o Atlantyk to jest mój dywizjon 304. Bitwa o Atlantyk trwała dwa i pół roku. I w Polsce nie mówi się o bombowych pilotach, nie mówi się o moim 304. i dlatego dałem specjalną nazwę tym razem w tej książce „Trzystaczwartacy”. Byli czwartacy, w postanowie listopadowym, jeśli się nie mylę, trochę ich jest, jeżeli pamiętam. To nazwałem to „Trzystaczwartacy”. Wszyscy moi koledzy trzystaczwartacy, są po dziś dzień uszczęśliwieni. Nawet jak otrzymuję listy, to podpisuje mi się taki Zarudzki Edek, który mieszka w Danii, „Trzyczwartak” podpisuje się. Tak że ratuje ten. I jeszcze to mówię, jeszcze podkreśliłem znów ten fakt, że mówi się właśnie o kawalerii. Pewnie, że kawaleria polska była piękna. Pewnie, że 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich i „Hej, ułanie jazłowiecki, w górę kiecki” i tak dalej. Pani to widzę, że zna. I przepiękne te wszystkie żurawiejki nasze znalizmy na pamięć. To bardzo ładne. Ale ja nie jestem pewien, czy ten 1939 rok, tylko dlatego, że za duży akcent kładł Piłsudski na kawalerię, a nie na broń pancerną i na lotnictwo. My byśmy sobie dali radę.

Zofia Kunert: A w jakim stopniu pan wyszedł z wojny?

Bohdan Ejbich: Wyszedłem w stopniu kapitana. Dzisiaj jestem honorowym pułkownikiem. Tam mi dawał ostatni pułkownik z tego, jak on się nazywa, to pan pamięta, [niezrozumiałe, 00:49:46] pułkownik.

Konrad Starczewski: [niezrozumiałe, 00:49:48]

Bohdan Ejbich: Tak jest. 20 kwietnia, 1944 roku stoczyłem najdłuższą bitwę powietrzną z dwoma Junkersami, niemieckimi myśliwcami. Czysty przypadek, bo leciałem w załodze kapitana Kowalskiego, Stefana Kowalskiego, jako drugi pilot. Dolatywaliśmy do portu Saint Nazaire. Wysłani tam zostaliśmy przez Anglików w dla nich tylko wiadomym celu, bo był zamontowany jakiś equipment na naszym samolocie, o którym nas Anglicy nie poinformowali. W każdym bądź razie na ten lot poleciliśmy. To była noc. I przypominam sobie dokładnie tę piękną noc, jak nawigator wyszedł ze swojego, to jest taki compartment, wie pani, żeby oglądać przepiękne niebo. Z daleka były światła, ja się zbliżam do tego portu, cisza piękna, odbłask na spokojnym morzu, tylko się odbija księżyc. I w tym momencie przylatuje, widzę jak leci seria pocisków. Wie pani, to były świetlne pociski. Co dziesiąty, co dwudziesty pani widzi, leci taki pocisk jeden za drugim. Straszne uczucie, wie pan. Bo pan wie, że te pociski i pan wie, że mogą pana, a to nad moją głową. Więc ja z miejsca przepikowałem. Nie ma czasu na zmianę. Kapitan Kowalski był instruktorem pilotażu. Świetny pilot. On powinien być, nie ja. Nie możemy się zmienić, bo widzimy, że leci, drugi pilot czeka z drugiej strony. I ja siedzę przy tych sterach przerażony w pewnym sensie, bo to już, że tak powiem, na plecach nie wiadomo co się dzieje. Przyjąłem pierwszy atak szczęśliwie, skręt w lewo, coraz bliżej. Widzę, że płatem prawie może dotykam. I tak trwała ta walka przeszło godzina czterdzieści pięć minut. Kowalski to był dowódcą, mówi: „Leć w głąb oceanu”. To był wielki błąd. Dlatego, że myśmy mieli wystarczającą ilość, mówiąc angielskim terminem, petrolu, czyli benzyny, ale Niemcy też mieli,

bo to były nocni myśliwce, którzy mogli lecieć przez kilka godzin. To był błąd, zamiast lecieć bezpośrednio do Anglii, myśmy lecieli za nim, po chyba dobrych 45 minutach mówi: „Nakieruj się na Anglię”. Skierowaliśmy się na Anglię, cały czas walcząc z tymi dwoma Niemcami, którzy na zmianę. Jeden z przodu, drugi z tyłu. Bóg chciał, wie pani, żeby żaden z nas nie trafił. Anglicy złamali King's Regulations, prawo królewskie, bo nie wolno było zaświecić reflektorów. Oni widząc nas z daleka wystawiali na najbliższym lotnisku, to było lotnisko [niezrozumiałe, 00:53:10], pamiętam nazwę. Wystawili dwa reflektory, tak że ja widziałem z daleka, jak tak na horyzoncie te dwa światła pionowe, żeby po najkrótszej trasie lecieć, jak najszybciej lądować. Dolecieliśmy do tego lotniska, wylądowaliśmy. Oni doprowadzili nas do samego końca. Czy wie pani, że oni musieli wystrzelać wszystko, aby oni oddali mi honor. To było... To zostało mi w oczach, jak przelecieli dwa, jeden przy drugim i płatami poruszyli. Oddanie honoru. To się działo tylko podczas pierwszej wojny, podczas drugiej wojny tego nie było, bo oni normalnie przelatywali nad lotniska bombowe i czyhali na naszych lotników. A to był wyjątek. I tuż przed wylądowaniem, jakieś pięć minut, nastąpiła zmiana. Na moje miejsce przyszedł dowódca załogi, znaczy kapitan Kowalski, Stefan Kowalski. Ja usiadłem z boku i zacząłem się rozbierać. Ja byłem mokry. Miałem futro. Futro było mokre, płaszcz był mokry. To od tych strasznych nerwów. I teraz najzabawniejsza rzecz, przyjechała ławka. Angielka oczywiście, bo one przeważnie podjeżdżały z takim małym transportem, zabierały załogę i przeważnie zabierało się tak zwanego inteligentnego. Inteligentny to jest tam, gdzie się zdawało raport z lotu albo bezpośrednio do kawiarni, czy też do restauracji, żeby coś zjedli. Nas nawet nie zabierali, bo wiedzieli, że my nie jesteśmy zdolni mówić. Żaden nie był zdolny. Więc zabrali nas do takiej jadalni specjalnej wylotowej. Tam siedziały tylko nasza załoga. Podali nam to jedzenie i teraz proszę sobie wyobrazić, podają kawę i my chcemy wziąć kostkę cukru i wrzucić do kawy. Nikt nie może. tyżki tak chodzili. Żaden, nie mogliśmy osłodzić kawy. Nic nie mogliśmy. I Kowalski się uśmiechnął, mówi: „Idziemy spać, do jutra”. To było przeżycie straszne. Ja się nie dziwię. Nerwy. Z jednej strony słyszy się i mówi się „bohater”, ktoś jest bohaterem. To tak jak mi opowiadał major, o którym wspominałem, Roger, ojciec mojej przyjaciółki. On to znowu... Odpowiednik Virtuti Militari to jest Mility Cross podczas pierwszej wojny. Jak się zapytałem: „Jak?”. On mi powiedział: „Przez głupotę”. Bo z granatem wyskoczył do przodu i rzucił do bunkru niemieckiego. Przeżył. I oni też wszyscy przeżyli. Ale to jest głupota. W moim przypadku nie była głupota, tylko zaskoczenie. Mieliśmy wielki żal do Anglików, bo nie powiedzieli, co to było. Oni badali tak zwany G-Box, jak się potem dowiedzieliśmy. To był instrument namiarowy, który namierzał stacje radiolokacyjne niemieckie. I myśmy byli tymi ofiarami. Dlatego dopłynęli przy samym porcie w Saint-Nazaire. Tak daleko się nie leciało. A moja załoga tam się znalazła. Nie moja, tylko Kowalskiego. Tylko, że ja byłem przypadkowym tym... Więc to było straszne przeżycie. Takich ataków miałem potem już jako pierwszy pilot, ale przeważnie na sznorkle. A sznorkle to były łodzie podwodne, które miały wystawioną tak zwaną specjalną trap, to tak się nazywało albo atrapa, nie wiem, jak jest po polsku, która wciągała powietrze do wnętrza po to tylko, żeby można było ładować akumulatory pod wodą. Inaczej trzeba było wypłynąć na powierzchnię. W nocy przeważnie wypływały i ładowali na powierzchni, bo potrzebny jest normalny tlen do ładowania akumulatora. Więc było bardzo trudno znaleźć takiego, ale myśmy mieli szczęście. Kilka razy złapaliśmy taką załogę.

Zofia Kunert: Jakie odznaczenia pan dostał za swój udział?

Bohdan Ejbich: Ja, proszę pani, mam potrójny Krzyż Walecznych. Był wniosek na Virtuti Militari z tego, co ja wiem, ale to... Nawet dwa razy, ale to w tych czasach ja już nie zwracałem uwagi. Powiem pani dlaczego nigdy do tego nie

przykładałem uwagi. Ja wiedziałem, że wojna się kończy. Miałem za sobą ten uniwersytet. Wprawdzie nieskończony, ale zawsze posmak uniwersytetu. Ze swoją koleżanką, która ze mną chodziła, do dzisiejszego dnia koresponduje. Właśnie leży list do niej napisany. Dziewczyna ma 92 lata. Była ze mną na tym samym wydziale na uniwersytecie. A poza tym znali mnie, już w dywizjonie wiedzieli, że ja nie jestem taki normalny, wie pani, bo pod koniec 1944 roku ja sam się przygotowałem już na politechnikę londyńską. Uczyłem się, widzieli, że ja się przygotowuję. I otrzymałem zresztą stypendium. Może na tej podstawie, że było tam odnotowane, że jestem wychowankiem Szkoły Lotnictwa Grupa Techniczna. I zaraz po wojnie, 1945 roku byłem, meldowałem się na politechnice londyńskiej. Battersea College. Tak że moje najwyższe odznaczenie to jest potrójny Krzyż Waleczny, a potem dostałem jakiś krzyż zasługi, potem jakieś inne doszły, wie pani, ale to już...

Głos: Przecież masz tę, jak się nazywa.

Bohdan Ejbich: To nieważne.

Zofia Kunert: A od Brytyjczyków coś dostał pan?

Bohdan Ejbich: Te wszystkie. Brytyjskie to wszystkie tam są. To tam cała seria. Stąd, dotąd, coś 12. Ale nie liczę.

Zofia Kunert: Jak pan przeżył to, że tylko lotnicy polscy zostali zaproszeni do udziału w Paradzie Zwycięstwa i zresztą nie wzięli w końcu udziału?

Bohdan Ejbich: Nie, to nie tylko lotnicy. Zaproszeni zostali tylko myśliwcy z 303. Dywizjonu. Jest różnica. Nawet nie myśliwcy. Ja byłem na tej paradzie, ale w cywilu. I odczuwałem wielki żal do Anglików, że właśnie nie było... Już nawet nie mówię o lotnikach, ale nawet piechurach. Ale marynarze. Przecież to zasłużeni, bo marynarka miała piękne zasługi. Pierwsza przecież Bismarcka. Pierwszy strzał pał z polskiego kontrtorpedowca do Bismarcka. Duże zasługi. Wielka krzywda. Potem generał Sosaboski. Przecież to, co jemu zrobili, to jest nie do wybaczenia. Wiele rzeczy, wie pani, pozostało już tak w mojej pamięci w sensie i akcentem położonym na pewien zawód, bo ja miałem dużo większą i lepszą opinię o samych Anglików. Zawsze uważałem, że bycie Anglikiem to jest zaszczyt, ale zmieniłem to zdanie po wojnie i wcale bym nie chciał być. Jak miałbym zostać, to już bym wybrał Irlandczyka. Na drugim miejscu może byłby Szkot. Ale Anglik nie. Anglik nie.

Zofia Kunert: Ale co to znaczy, że pan brał udział po cywilnemu w paradzie?

Bohdan Ejbich: Stałem i przyglądałem się. Tak jak byłem na pogrzebie Jerzego VI. To Jerzy VI. Nie byłem na tym... Nie byłem na... To było małżeństwo Królowej Elżbiety. Już mnie nie było, już byłem w Kanadzie zdaje się, prawda? Byłem chyba w Kanadzie.

Głos: Ojciec Królowej Elżbiety.

Bohdan Ejbich: Tak. Ale opowiem pani, bo moja córka, która urodziła się w Anglii, mówi pięknie po polsku zresztą, jakkolwiek jest master of English. Ma tutaj, ale w angielskim właśnie. Jak była małą dziewczynką, moja mama, to zna-

czy ta mama, mama jej, czyli moja żona, zabrała ją na Westminster. Do Westminster, do katedry i tam opowiadała właśnie. I opowiadała o Królu Jerzym, i moja córka, która widocznie też mocnego języka, mówi: „Mamusiu, ja wiem, że dusza idzie do nieba, ale co się dzieje z tym mięsem?” I to słowo „mięso” mi zostało w pamięci, wie pani. Ja jej często przypominam, że to mięso, ona nie mogła zrozumieć, co z tym mięsem się dzieje. Więc takie...

Zofia Kunert: A wracam do okresu wojny. Był pan w Anglii, był w lotnictwie i tak dalej, i tak dalej, ale w Anglii przeżył pan na przykład katastrofę gibraltarską. Wcześniej przeżył pan informację o odkryciu grobów w Katyniu. Jak te informacje do was docierały? Wie pani, że ja dowiedziałem się bardzo późno o grobach katyńskich, o Katyniu. Ja już nawet dokładnie nie pamiętam, kiedy. Wiesz, tutaj w ostatniej swojej książce, to męża pani może zainteresować, ja poruszam ciekawy temat. To jest spisak w lotnictwie, o którym nic nie wiedziałem. Jako młody oficer nie interesowało mnie to. Zresztą wie pani, tak jak wspominałem przedtem, mnie interesowała tylko jedna rzecz. Powrót do Polski, zemsta na Niemcach. Nawet do Rosjanów nie miałem takiego żalu, jakkolwiek już napływali do lotnictwa ochotnicy, którzy zgłaszali się z armii Andersa, a którzy przeszli przez Syberię. Zresztą dużo lotników tam było. Przechodzili. Był taki moment, kiedy ja byłem oficerem służbowym, pamiętam, w Blackpool i przyjmowałem transport lotników, którzy świeżo się zgłaszali. I pamiętam, jak przechodziłem przed tym szeregiem jak jakiś wódz, byłem wtenczas na służbie. Nagle jeden z tych stojących w szeregu mówi: „Panie poruczniku, cześć. My ze Lwowa”. To był brat mego kolegi. Kolegi, pani może słyszała o księdzu Bardeckim, bo to był mój kolega gimnazjalny. Ja z nim w jednej ławce siedziałem. W ławce. Andrzej Bardecki. Ja go potem spotkałem, jak przyjechałem do Krakowa, odwiedziłem, to mnie nie poznał. On był w redakcji Tygodnika Powszechnego. Ja przyszedłem do redakcji Tygodnika ze zdjęciem jego z mojej klasy i mówię: „Andrzej, popatrz, to ja jestem ja”. A on mi nie ufał, on mnie nie poznał. I przez długi czas... No, nie przez długi czas, tylko bardzo sprytnie powiedział: „Wiesz co, spotkamy się u Mietka Marszałka”. To drugi mój kolega, wie pani, bo on był prawnikiem w Krakowie wtenczas, o czym ja nie wiedziałem oczywiście. Ale jak spotkaliśmy się wieczorem, to ich celem było mnie, mówiąc tak brutalnie, zalać, bo ciągle mi leli wódkę i nie mogli zrozumieć, że ja tyle rzeczy wiem o dawnych czasach, o X Gimnazjum Państwowym, gdzieś chodzili, co, kto, gdzie i jak. I w końcu mi uwierzyli, że to jednak jestem ja. I częstośmy przyjeżdżali, bo tyś poznała Andrzeja Bardeckiego. A ja go zostawiłem jako chłopca, który miał wtenczas może 15 lat, jak wyjechałem ze Lwowa. A tu nagle pojawia się chłop w roku, to był, bo ja wiem, 1960, to już 40 z kawałkiem, pod 50 ganiał. Mógł mi nie ufać. Z Mietkiem Marszałkiem, tym drugim, żyłem w wielkiej przyjaźni. Naprzeciwko tego domu mieszka jego córka, która utrzymuje z nami przyjazne... Tak że to było naprawdę dziwne, wie pani, pani mnie zapytała, czy ja wiedziałem. Nie. Ja dużo rzeczy nie wiedziałem, ale po wojnie się dużo dowiedziałem, bo mnie interesowała sprawa Ujejskiego. Dlaczego został zdjęty. Przeczytałem niedawno książkę, Wieniawę. Ja wiem, dlaczego Wieniawa popełnił samobójstwo. Dlaczego? Bo Sikorski nie przyjął do wojska. Skąd to było, dlaczego Sosnkowski odsunął Ujejskiego, dlaczego Czerniawski, który był wtenczas tym motorem i znów też bliski krewny mojej żony, pułkownik Poziomek, który był dowódcą mojego dywizjonu. Pisał takie rozkazy, których ja nie rozumiałem, a ona już w konspiracji działał. I dlatego, wie pani, tak wszystko to dodając razem, nie mogąc podsumować tego, bo tu jest brak wiedzy, dlaczego Anglicy zamknęli sprawę Sikorskiego i nie chcą mówić. Dlaczego pułkownik Franciszek Kalinowski, nie Kalinecki, Kalinowski, napisał o Czarnieckim tak, jak napisał. Dlaczego prezydent został przez Wieniawę... Nie, on Wieniawa, on się nazywał Wierusz-Kowalski? Uciekło mi nazwisko, spoliczkował prezydenta.

Głos: Tak.

Bohdan Ejbich: Wierusz, zdaje się. Jak ja to zacząłem dodawać wszystko, to zdaje mi się, że tam coś jest, czego ja nie wiem, ale podsycam ten capstryk, bo ludzie mądrzejsi ode mnie powinni powiedzieć. Niejaki pan Kunert powinien się tym zająć, zainteresować. To jest Sikorskiego.

Zofia Kunert: Znaczący mówi pan też o tym spisku w lotnictwie.

Bohdan Ejbich: Tylko w lotnictwie, bo ja wiem, że było i w armii też. Ale ja mówię o spisku w lotnictwie. To był dowódca dywizjonu. To był tam Czerniawski, którego tu poznałem. Ze mną nie chciał rozmawiać. Tam był major Kurzępa, do którego przyjechałem kiedyś w Londynie, żeby przeprowadzić z nim wywiad. On powiedział tak: „Może mam brudne sumienie, ale na ten temat nie chcę mówić”. Nie chciał ze mną rozmawiać, ale ja rozmawiałem na inny temat z nim, bo dowiedziałem się o jego przygodach. Był dzielny człowiek, nie ma dwóch zdań, ale to jedno drugiemu nie zaprzecza. Można być dzielnym człowiekiem, ale można być takim, dzielnym, powiedzmy, jak był Wieniawa, po swojemu, a powiedzmy to, co Wieniawa pisał o Sikorskim, jak był w legionach, uważał, że jest tchórzem, to ja się nie dziwię, że Sikorski go nie chciał przyjąć. To wielki błąd. Wie pani, wielki błąd. Ale to takie typowe dla nas, dla niejednego z nas, Polaków. Przykro mi.

Zofia Kunert: Teraz wracamy do sprawy pana rodziny, bo powiedział pan w pewnej chwili, że brat i chyba ojciec...

Bohdan Ejbich: Tak.

Zofia Kunert: Bo rodzina została w kraju. Proszę o tym opowiedzieć.

Bohdan Ejbich: Bardzo mało wiem, bo tak jak mało wiedziałem o Katyniu, tak nie interesowała mnie sprawa Majskiego. Ja pani tak szczerze powiem, że wtenczas kiedy oskarżali generała Ujejskiego o to, że brał udział w jakimś przyjęciu w ambasadzie...

Głos: Rosyjskiej.

Bohdan Ejbich: rosyjskiej, prawda? Ja dokładnie tych szczegółów nie mam. To ja tymi rzeczami w tych terminach mojej młodości, tak to określe, ja się nie interesowałem, ja miałem 23-24 lata. Mnie interesowała zemsta i dziewczyna na urlopie. To mnie interesowało. Brutalnie szczerzy będę. Mnie interesowało, czy ja będę na urlopie i czy ja pójdę na balet, bo interesował mnie balet. Pierwszy raz byłem w życiu, bo nie miałem czasu przed wojną. Pierwszy raz na operze byłem. Pierwszy raz w Lyonie widziałem Carmen. Ja pierwszy raz poszedłem na balet Czajkowskiego w Londynie. Nie było przed wojną czasu. Mnie interesowała polityka i mnie interesował Piłsudski. Był okres, kiedy byłem piłsudczykiem też. Ale to było jeszcze wcześniej. Ja widzę teraz jego wady, wie pan. Ale to był patriota. Tak samo jak Wieniawa, ale wszystko to, jak się dzisiaj popatrzy, to takie nieaktualne.

Zofia Kunert: Ale wracamy do rodziny.

Bohdan Ejbich: Do mojej rodziny. Tak.

Zofia Kunert: Co się stało z ojcem i bratem?

Bohdan Ejbich: Więc ojciec był oficerem zawodowym. Jak wojna wybuchła, to był już na emeryturze. Pracował w warszawskich aptekach. Ja potem nic nie wiem, gdzie był. Jak został zaaresztowany, ja nic nie wiedziałem. Pierwsza depesza, jaka przyszła do mnie w czterdziestym... Już po ślubie naszym. To był już prawie 1946 roku. Tak, w 1946 roku. Z Polski, to ja ją mam zachowaną, wie pani. To było tak. Brak Stasia i brak ojca. Ja nie mogłem zrozumieć tej depeszy. Ja jeszcze wtenczas nie wiedziałem, że oni zginęli. Dopiero się potem dowiedziałem, jeszcze matka była w listach ze mną bardzo ostrożna, jak pisała do mnie. Dopiero potem się dowiedziałem, że zginęli. I jak zginęli, to jest, wie pani, to było tragiczne, bo rodzice mieszkali wtenczas... Pani zna Warszawę dobrze? Wie pani, gdzie się kończy ulica Słowackiego, zaczyna Marymoncka i odchodzi Gdańska. Moi rodzice mieszkali na Gdańska 4. Ja tam właściwie nigdy nie byłem, byłem w szkole wtenczas. Tam został aresztowany mój ojciec, dlatego, że wpadł jeden, prowadzących tę piątkę, on był moim kolegą, zdaje się, o ile się nie mylę, zapomniałem nazwisko, u Władysława IV, mój brat należał do tej czwórki, bo mój brat kończył maturę, nie pamiętam, czy było IV gimnazjum miejskie, czy II miejskie na Pradze. On był prymusem, doskonale się uczył. Przeciwnie do mnie, wie pani, ja byłem bryndza, jak to się mówi. A on się doskonale uczył. Naprawdę był... I on był idealistą, ten mój najmłodszy brat. Starszy brat nie był taki, wie pani, bohater. W każdym razie wiem, że on... Spadła ta piątka, przyszło aresztować i mój ojciec popełnił błąd. Stanął w obronie, wie pani, i jego zaaresztowali. Był na Pawiaku, potem w Alejach Szucha, bo to mnie potem opowiadali. Matka chciała go wykupić, nie mogła znaleźć odpowiedniej ilości kwoty, która by go wykupiła. Ja tu patrzyłem na „Czas Honoru”, więc troszkę się orientuję, jak to mogło wyglądać, bo ja zielonego pojęcia nie miałem. Ale wywieźli ich obu i wiem, że mój brat został zagazowany w autobusie czy... Tak mi opowiadano, w autobusie, natomiast jeśli chodzi o mego ojca, to są dwie wersje. Ja wierzę w tę drugą. Był farmaceutą i z tego, co mi opowiadano, to był, zdaje się wuj Klemens, jeszcze jeden był też, wuj Klemens był też w obozie w Auschwitz. On przeżył. On był odkomenderowany do, można nazwać to apteczki czy apteka w takim obozie istniała i był tam aptekarzem. Z tego, co opowiadano, podobno przyszedł Niemiec, zażądał alkoholu od niego, on mówi, że nie może, bo on już wiedział, wziął i go zastrzelił. To jest taka wersja. Druga wersja, że został zagazowany. I nie mam pojęcia. Dokładnie nie wiem. Powiem pani szczerze, że byłem w Oświęcimiu i wszedłem tylko do jednego budynku. Nie mogłem chodzić. Wyszedłem. To trudne do określenia. Przeżycie takie pewnego rodzaju. Mój brat, który stosunkowo niedawno zmarł, on mieszkał cały czas w Polsce. To jedyny, który przeżył. Matka i on przeżył. Był w Oświęcimiu, on mnie zawiózł, ale nie wszedł. Mówi: „Nie mogę”.

Zofia Kunert: A ten brat, który zginął, jak miał na imię?

Bohdan Ejbich: Stanisław. Pani go znajdzie w książce, jak to nazwano kiedyś, książka telefoniczna Pawiaka, zdaje się, tak to nazywano. Ja tak słyszałem wtedy. Książka telefoniczna Pawiaka. Pani go tam znajdzie. Ojca i mego brata, i tam są dwa. Ejbich, Ejbis. Jeszcze takie są troszkę widocznie zmienione czy... Trudności z moim nazwiskiem są.